

Wergiliusz powiedział, że istnieje tylko jedno miejsce w mózgu, gdzie można odpocząć i tam się udał. Zająłem się na czas jego nieobecności opuszczonym mieszkaniem. Nie wiedziałem kiedy ma zamiar wrócić. Mieszkanie znajdowało się w bardzo komfortowej wili, z portierem i windą. Kręciło się tam wielu stróżów prawa, o mocno podejrzaną reputację. Próbowałem ich przechytrzyć, kiedy tylko się dało i muszę przyznać, że sprawiło mi to wielką satysfakcję. Towarzyszyło temu dziwne, niepokojące uczucie, że już w tej sytuacji kiedyś byłem. Zaczynając dla zabawy podchody z policją królewską w labiryncie pokoi i korytarzy, coraz bardziej uwikłany byłem w pościg, który zaciskał krąg obławy wokół mnie. Ukrywałem się z narażeniem na szwank zdrowia, w zimnych i zamulonych wodach pobliskich stawów, jezior i rzek. Było w tym coś przerażającego, nie wspominam tego z przyjemnością. Jakbym odkrył przez tę zabawę, która stawała się coraz bardziej poważna i złowieszcza, swój własny zamek.

Wnętrze wili Wergiliusza usłane było dywanami w ciemnych, brązowych kolorach, tłumiących wszelkie dźwięki. Nawet drzwi obrotowe miały pod spodem szczoteczki, wmiatające za każdym razem, gdy ktoś wychodził, jego pamięć ze zwojów mózgowych. Wszak do końca nie udało się tego zrobić i stąd moja relacja. Nie wiem, co będzie dalej.

Póki co, trafiłem do innej, bardzo wygodnej posiadłości na wzgórzu, z basenem, gdzie znajdowało się obserwatorium astronomiczne, a czas był nakręcany na sprężynę, co sprawiło, że biegł wkoło, jakby zapętłony. Odnosiło się wrażenie, że można tutaj bezpiecznie odpocząć. Były to jednak pozory, na które nie dali się nabrać nawet pracownicy uniwersytetu. Po pustych wnętrzach kręcili się bezosobowi agenci. Chyba znudzeni, ale nie mam pewności co do natury ich uczuć. Pilnowali wszystkiego i niczego. Ciekawe, czy złapałoby mnie, gdybym zachował mniej ostrożności. Nigdy nie byłem nonszalancki wobec nich, może dlatego, że koszmar ostatniej wojny wciąż głęboko tkwił, wbity we mnie młotem nieznanego robotnika, bez nienawiści, ale za to na wieczność. Nie interesowało mnie dochodzenie tego, kim był człowiek, który zadał mi tyle bólu, gdyż stanowił część wojny. Sam z siebie nie różnił się od innych. To wojna była straszna, a ludzie chcieli tylko przetrwać. Jednak nie

każdy wystrzelony pocisk zabijał człowieka. Nie pamiętam twarzy ludzi, dobrze natomiast mundury, czołgi, ciężarówki i drogi, niezliczone sposoby ucieczek do lasów, bądź tajnych kryjówek na strychach, dachach, nawet w murach kamienic, na podwórkach i w piwnicach. Im większe miasto, tym mniejszy lęk, że mnie złapią. Znajome, dobrze pamiętane z poprzednich pościgów, otwierane w ostatniej chwili bramy, za którymi jakimś cudem udawało się przeżyć. Gorący oddech oprawców na karku. Tak..., to formowało twarz wojny. Ludzie malowali jej policzki różem, powieki czerwienią z czernią, a usta sinym. Dla wielu była piękna, dla innych stała naga, bez pudru i sukien. Miała, jak każda niewiasta, genetycznie dziedziczone zdolności rodzenia...

Noc robi się chłodna i chcę się ogrzać. Miałem się przecież zająć mieszkaniem Wergiliusza, o którym właściwie nic nie wiem. Kto mi przydzielił ten obowiązek, poniekąd zaszczytny, doglądania włości kogoś, o kim potrafię powiedzieć tylko tyle, co w dziecinnej rymowance: *Ojciec Wergiliusz uczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto dwadzieścia troje.*

Będę ostrożny, więc nie powinni mnie złapać, jeżeli takie mają zamiary. A może oni chcą, czego nigdy dobrze nie zrozumiałem, gonić mnie tylko po to, żebym uciekał i wciąż na nowo przeżywał strach, który stanowi ich naturalne pożywienie. Dlatego tak przypominali mi ubeków, a ja nazwałem ich tajną policją, gdyż to jakoś lepiej brzmiało i nadawało inne ramy czasowe opowieści.

Czuwając bez wytchnienia, całkowicie zaangażowany w to, by zmylić tropy, odsunąć się od przerażającej obecności, nigdy nie potrafiłem stanąć i spojrzeć im w oczy.

Obrócić się i spokojnie spojrzeć w oczy temu, co całe życie było za plecami. Nie potrafiłem, ale skoro już o tym wiem, może pozbawię ich strawy. Niech zdychają z głodu oprawcy z całego świata, jego wszystkich wcielań. Uwolnię od nich siebie i jeśli ta sztuka się powiedzie, powiadomię o tym ludzkość. Zmęczoną, maltretowaną ludzkość wszystkich czasów. Powiem jak to zrobić, wytłumaczę etapy, krok po kroku. Opowiem z detalami i jeśli trzeba pokażę. Przeprowadzę przez dolinę cieni, zamknę płacz na zawsze, stłumię ciemnym płaszczem wszystko za sobą i rzucę go na ziemię, wejdę na wzgórze z łąką i pięknym widokiem. A jeśli nie potrafię was przywołać do siebie... wrócę.

Teraz rozumiem po co to wszystko. Jestem pośrodku ciemnej i zimnej nocy. Nie ma mnie kto przytulić, niczyj szept nie koi drapieżnego szumu ocierających się o siebie myśli. Jestem tutaj. Skoro tak, daj mi latarnię, a jeśli proszę o zbyt wiele, daj iskrę, a postaram się ją rozpałić. Będę was szukał, gdyż obawiam się, że jest zbyt ciemno, byście mnie znaleźli. Mam przeczucie, że robiłem to już wielokrotnie, może więc i tym razem przypomnę sobie którąś drogę. Wezmę koc gdyby złapał mróz i jedną iskrę. Reszta w rękach... reszta w rękach...

W mózgu istnieje jedno miejsce, w którym Wergiliusz mógł odpocząć. Znajduje się ono w północno-wschodniej części głowy, tuż pod korą... (nie lubię tych rzeźniczych terminów, napawają mnie wstrętem). To, co robią bandyci, rozbijając mózg siłą, narzędziami twardymi i ostrymi po to, by dostać się do środka, dla normalnego człowieka, w którym tli się najmniejszy płomyk zdrowego rozsądku, zaczyna się od wycieczki do lasu. Wytrwałych droga ta doprowadza nawet do źródła. Nie są to łatwe wycieczki, nie ma tam drogowskazów, ale wypalone poligony, na których kiedyś odbywały się manewry wojskowe, są wskazówką, że podążamy w dobrym kierunku. Możemy natrafić na wyłaniające się niespodziewanie zza gęstwiny drzew wzgórze, strome wzniesienia i ostre skały. Warto pamiętać o tych znakach w terenie. Jeżeli zdarzy się, że z oparów znad bagnisk wynurzy się wieś z chałupami krytymi strzechą, nie należy rozwiewać tego obrazu jako fatamorgany. Tak, w tej okolicy mieszkają czarownice. A jeśli kojarzą się tobie z siłami ciemnych mocy, zamień je na dobrych czarodziei. Tak czy inaczej, posiadają one zdolność wprowadzenia cię do innego wymiaru. Zwykle dzieje się to, gdy przejdiesz przez mur na drugą stronę, albo zstąpisz do studni, szybu lub pod wąż. Wejścia są pilnie strzeżone, dlatego trzeba poczekać aż pilnujący się odwróci, skorzystać z nieuwagi i wślizgnąć w głąb. Przede wszystkim musisz być gotowy, by przekroczyć tę barierę. Jeśli gotowy jeszcze nie jesteś, stróż z uporem dziecka będzie ślęczał nad otworem, aż się znudzisz i zrezygnujesz, albo pomyślisz, że ktoś cię robi w konia i wrócisz.

Jednak takie myśli, musisz wiedzieć, podpowiadają, że droga jest właściwa.

Wejście w inny wymiar nie oznacza, że dostaniesz się do prapoczątku, który znajduje się tuż pod powierzchnią na północnym-wschodzie. Z tego powodu niektórzy barbarzyńcy próbują się do niego dostać z zewnątrz. To prawda, że droga wtedy jest bardzo krótka, ale najczęściej zamienia się ona w tak długą i żmudną, że odkrywca zapomina, co robi i czego szuka.

Gdy kwiaty więdną w wazonie, rozsądny człowiek wymienia je na świeże, nierozsądny próbuje je wskrzesić.

Po drodze czyha na niego wiele pułapek. Jedną z nich są sentymenty, woń krajobrazu rozlanego przed poszukującym. Cokolwiek tam znajdzie, wszystko zatrzyma go i skłoni do wspomnień, których jedna odnoga będzie miała sto ramion, a każde po sto palców. I tak w nieskończoność. Wielu pozostaje tutaj na długie lata. Żyzna to kraina, tak czuła i pulchna, że rozbiera do naga i zmusza do współżycia, i oddają się temu bez reszty, zagubieni w rozkoszy, trawiąc sami siebie niczym języki ognia polana na kominku. Brakowało im takiej kochanki przez całe życie. Gdy mogą to w końcu wyjawić, podniecenie nigdy nie słabnie, znajdują jej ramiona i usta zawsze złaknione. Tak królowie zasiadają na tronach. Baldachimy ich namiotów tworzą niebo nad głowami, a gwiazdy na nim są tak prawdziwe, jak te na sklepieniach kościołów.

Iluz tutaj zapatrzyło się na drewniane rzeźby, doznając wzruszeń, jakich nigdy nie zaznali patrząc na drzewo, gdy jeszcze było żywe. Wielka siła ujawniła się w okrzyku wzruszenia nad trupem. Byłaby zdolna postawić go na nogi, lecz nie czyni tego, bo żywego znacznie trudniej podziwiać.

Wody przydrożne, obsadzone frędzlami roślin, są nieskończenie trudniejsze do ominięcia. Szuwały tak wiążą się z myślami, że niemal widać, jak współplotą dziewczynom warkocze, które pod męskimi dłońmi zamieniają się w aksamit. Och, te stwory wodne! Czy myślicie, że przyroda sama stworzyłaby takie odniesienia do sentymentów lub człowiek mógł je ożywić, gdyby nie stały za nimi pomysły wielkich inżynierów? A przecież oni to tylko szefowie katedr, a wymagają od nas wierności serafinów. Nie dajcie się nabrać! Nie dajcie sobie nałożyć na głowę niebiańskich pończoch, które tak wam będą zastępować obraz ukochanej, że ani się spostrzeżecie, jak już żywej przestaniecie szukać, tonąc w obrazach ją przypominających.

Trzeba iść dalej.

Na samym początku wyprawy zebrać ochotników i odpowiednią ilość sprzętu, aby przetrwać kilkudniowy pobyt w kniejach. Nierzadko jest to próg nie do pokonania, gdyż trudno znaleźć chętnych. Prosimy przyjaciela, który nas nie rozumie, członka rodziny, który jest zajęty czymś innym, bliskiego znajomego, który nie jest przekonany.

Robimy to, by podróż dzielić z kimś bliskim. Bywa tak, że przez trzydzieści, czterdzieści lat nie udaje nam się zebrać ekipy. Co wtedy? Słusznie, trzeba samemu się tam wybrać. Fakt ten napawa nas smutkiem i dlatego odkładamy w nieskończoność wyprawę, aż w ogóle do niej nie dochodzi. Pozostają tylko marzenia i coraz słabsze postanowienie, że następnego lata weźmiemy namiot, koc i... w drogę. A echo odpowiada: *Oczywiście, oczywiście...*, śmiejąc się z nas, bo tych, którzy podjęli ryzyko, było niewielu.

Ludzie rozumują tak: po co zbierać sprzęt, przekonywać innych do ekspedycji, która ma się odbyć w myślach. Większość tłumaczy sobie, że to nie ma sensu, że właściwie to głupota. Niewielu poważnie traktuje ten pomysł i zjawia się na linii startu. Już są zmęczeni, gdyż przyglądali się sobie z podejrzliwością przez kilkadziesiąt lat, zanim podjęli decyzję. No dobrze, ale w końcu pojawili się.

Idźmy dalej.

Trzeba wyruszyć o świcie. Za nami krótka noc. Ciało zbudzone zbyt wcześnie drży w kajdanach oczekiwań, przewidywania przyszłości, ale wzrok już chwytą nienarodzone jeszcze refleksy wschodzącego słońca odbite w wyprasowanych szynach, błyszczących starym blaskiem, czymś takim, co nosili dawniej stróże lub woźni na znak przynależności do zespołu ludzi uczciwie wykonujących swoją pracę. Patrząc na szyny, widzę wąsy szatniarza i słyszę dzwonek woźnego, rozpoczynający i kończący każdą lekcję. Nic więc dziwnego, że gdy na tak solidne podłoże wtoczy się parowóz, a z nim wagony, to wszystko dojedzie do celu.

A to wszystko przetoczy się przez blask, przecinając nieświadomie światło, które zanim się pojawi, będzie zapowiedziane dźwiękiem, a gdy odpłynie (ściemni się), dźwięk pozostanie...

Tak to już jest, taka to rzecz.

Nie bez przyczyny dwie szyny łączą się w jedną w tym miejscu, gdzie obraz i głos biorą początek. Tam jedziemy, tam zmierzamy pociągiem na jednej szynie, którą kowal wykuł i złożył z niej promień o jasnym obliczu. Kowal zawsze był pierwowzorem rycerza i on to zaklął w klindze swoje pragnienia, które rycerz nieświadomie nosi. Spocony i brudny zamknął w mieczu wszystko, czym chciałby być, co chciałby zobaczyć i poznać, gdyby mógł ruszyć się znad warsztatu. Gdyby nie jego kuźnia, to ani broń, ani rumak nie mieliby imion. Nie byłoby *jak*, nawet gdyby było *po co*.

Nie wiem, czy znajdę miejsce, do którego wybrał się Wergiliusz.

Gdyby było tylko figurą w pamięci, moja uczciwość byłaby pokalana, gdyż mógłbym je odnaleźć w przeszłości. Ono istnieje poza moją osobistą własnością, dlatego chcę iść razem z tobą, by je odkryć dla ciebie i siebie.

Niewiele znam sposobów przydatnych do tego. Pomocna jest szczerłość..., jak kamizelka ratunkowa na oceanie. Lecz jeżeli pomoc nie nadpłynie wielkim statkiem, nikt nie przetrwa.

Posuwamy się do przodu, niczego nie planując. Pozostaniemy w lesie jeszcze długo. Powodem wycieczki jest przeświadczenie, że gdzieś pośrodku, w kniejach, kryje się najpiękniejsze miejsce na świecie. Dlatego chcę, żebyś szedł ze mną. Jeśli się zgubimy i tam nie dotrzemy, wówczas na mnie będzie ciążyła odpowiedzialność za twoje rozczarowanie. Jeśli jednak je znajdziemy, to sens bycia zostanie spełniony poprzez dzielenie radości. Dlatego tak długo zwlekałem i nie chciałem wyruszyć sam. I choć wiem, że mam tylko ciebie, muszę pokonać wszystkie trudności i największą z nich – samotność, gdyż poczuwam się do odpowiedzialności za ciebie. Uczciwie będę o wszystkim mówił. A jeśli poczujesz, że robi się zbyt niebezpiecznie, wracaj z powrotem po swoich własnych śladach. Ja muszę iść dalej... Wydaje mi się, że od tego wiele zależy. Być może więcej niż jedno małe życie.